

PANIE, NAUCZ NAS KOCHAĆ TYCH, KTÓRZY NIE SĄ KOCHANI



Jak co roku, w ostatnią niedzielę stycznia obchodziliśmy w Maranie Światowy Dzień Trędowatych. Święto to, ustanowione z inicjatywy francuskiego podróżnika, poety i człowieka o wielkim sercu – Raoula Follereau, weszło na stałe do światowego kalendarza już w 1954 roku. Jest to nie tylko dzień solidarności z chorymi na trąd, ale przede wszystkim dzień, w którym przypomina się światu, że ta choroba wciąż zbiera obfite żniwo, a ludzie, którzy na nią cierpią, potrzebują naszej pomocy. Jak podają statystyki, na całym świecie aktualnie mamy ponad 3 mln chorych na trąd, a każdego

roku przybywa około 250 tys. nowych przypadków zakażenia. Chorują nie tylko dorośli, ale też i dzieci. Choroba szybciej atakuje słabych, niedożywionych, żyjących w warunkach urągających podstawowym zasadom higieny, a więc nic dziwnego, że najbardziej szerzy się w najbiedniejszych krajach świata. 75 procent trędowatych to mieszkańcy Indii. Madagaskar, pod względem ilości zachorowań, zajmuje czwarte miejsce na świecie.

„To ludzie najbiedniejsi z biednych” – mówił o trędowatych Raoul Follereau. Ta choroba bowiem wiąże się z ogromnym cierpieniem, ale także sprawia, że zostają wykluczeni ze społeczeństwa, zepchnięci poza jego margines. Traktuje się ich jako nieczystych, przeklętych, umarłych za życia. Kiedyś nie mieli prawa pojawiać się w miejscach publicznych, a jeśli przechodzili przez jakąś wieś czy miasteczko, uderzali w kołatki i już z daleka wołali: „Nieczysty, nieczysty!” Wszystko po to, żeby - przez przypadek - nikt się do nich nie zbliżył. Jak czytamy w Biblii, tylko Chrystus bez obrzydzenia patrzył na nich, dotykał ich ran i uwalniał od tej strasznej choroby. Dzisiaj także liczą tylko na Chrystusa, który – posługując się rękami misjonarzy, misjonek, wolontariuszy – zbliża się do nich, opatruje ich cuchnące rany i leczy. To właśnie ci misjonarze są dla nich na co dzień świadkami Bożej miłości i miłosierdzia.

My, Polacy, mamy piękną kartę zapisaną w historii służby trędowatym. Pionierem na tym polu był oczywiście o. Jan Beyzym. Potem w jego ślady poszło wielu innych. Są wśród nich misjonarze, misjonek, świeccy wolontariusze, lekarze, którzy dzisiaj pomagają ludziom chorym na trąd na całym świecie.

Walka z trądem to nie tylko walka z chorobą, ale przede wszystkim walka o godność tych, którzy naznaczeni są jej piętnem. Walka z głodem, nieludzkimi warunkami w jakich żyją. Jest to bardzo trudne, zwłaszcza w krajach biednych, dotkniętych wojnami, suszą, pustoszonej przez cyklony, tsunami czy inne żywioły. Jest to walka o zmianę mentalności ludzi, bo wciąż, dla wielu, ten, który zarazi się trądem pozostaje nieczystym na wieki, odrzuconym nawet i po wyleczeniu. Nie chce ich społeczeństwo, rodzina. Ci ludzie trafiają więc na ulicę i zmuszeni są żyć z żebranią aż do końca swoich dni. Jeśli chory zgłosi się na leczenie zbyt późno, trąd pozostawia na ciele trwałe ślady. Czasami trzeba amputować palce u rąk czy nóg, dłonie, stopy a nawet i nogi. Wtedy, jako niepełnosprawny, nie ma już żadnych szans na normalne życie. Jest stygmatyzowany i wyrzucany poza społeczny margines.

Nasz szpital dla trędowatych w Maranie istnieje już 111 rok. Gdyby nie o. Jan Beyzym i hojność ofiarodawców (głównie z Polski), pewnie by go nie było. Ta placówka była pierwszą tego typu na Madagaskarze i do dnia dzisiejszego – dzięki ofiarodawcom, ludziom wielkiego serca – wciąż działa. Aktualnie mamy tu ponad 70 pacjentów. Oprócz szpitala, tuż za jego murami, mamy jeszcze wioskę, zbudowaną z fundacji Raoula Follereau dla rodzin trędowatych. W sumie więc mamy pod opieką ponad 100 chorych. Na co dzień siostry ze zgromadzenia św. Józefa z Cluny dwoją się i troją, żeby podopiecznym zapewnić podstawowe warunki do leczenia i bytowania. Nie jest łatwo, kiedy nie ma się stałego źródła finansowania, a liczy się tylko na pomoc dobrych ludzi. Czasami, przez długie tygodnie, nasi chorzy jedzą tylko vary sy anana czyli ryż z trawą (ta trawa przypomina nieco nasz szpinak), bo na więcej nas nie stać. Czasami brakuje leków (głównie antybiotyków) i środków opatrunkowych. Dziękujemy jednak codziennie Bogu za to, co mamy, bo przecież mogłoby być jeszcze gorzej i wtedy szpital trzeba by zamknąć. Modlimy się do naszej Patronki – Matki Boskiej Częstochowskiej i każdego dnia – w sposób namacalny – czujemy Jej opiekę i pomoc.

Oprócz opieki nad chorymi, siostry zajmują się też edukacją dzieci, których w Maranie jest około 30. Niektóre tutaj się urodziły, niektóre przybyły do naszego szpitala razem z rodzicami. Jak wszystkie dzieci na świecie, bawią się, śmieją, czasem nawet robią różne psikusy. Kiedy na obiad dostaną miseczkę ryżu, są szczęśliwe. Problem zaczyna się wtedy, gdy rodzice, umierają z powodu choroby. Takich sierot mamy tutaj kilkanaście. Nie wyrzucamy ich poza bramy szpitala, ale kształcimy je i opiekujemy się nimi dopóki nie

zdecydują się na samodzielne życie poza naszymi murami. Trzeba tu dodać, że wśród tych sierot jest wiele bardzo zdolnych i inteligentnych dzieci i serce się kraje, że nie zawsze starcza środków, by im pomóc „wyjść na ludzi”.

Ja – jako kapelan – na co dzień sprawuję duchową opiekę nad chorymi. Odprawiam Mszę św., spowiadam, udzielam chrztów, ślubów, przygotowuję na ostatnią drogę umierających, głoszę katechezy i rekolekcje. Staram się, jak potrafię, pozyskiwać środki na funkcjonowanie tego miejsca.

Ludzi o wielkim sercu nigdy nie brakowało, więc dzięki ich pomocy mogliśmy zainwestować ostatnio w kilka ważnych dla Marany projektów. Między innymi pomalowaliśmy i nieco wyremontowali dach naszego ponad stuletniego szpitala (blacha na tym dachu założona jest przez o. Jana Beyzima w r. 1911!!!). Zrobiliśmy nowe, z prawdziwego zdarzenia toalety dla naszych chorych. W ubiegłym roku udało się nam wykopać studnię. Do tej pory wody w Maranie ciągle brakowało, a teraz mamy jej już pod dostatkiem. Wystarczy jej nie tylko do picia i mycia, ale też na pranie i inne porządkowe prace, także na podlanie naszego ogrodu warzywno-kwiatowego. Naszym marzeniem jest zainstalowanie paneli fotowoltaicznych, ponieważ za prąd płacimy tu bająnskie wprost sumy, a na to nas nie stać. Potrzeb jest jeszcze bardzo wiele, bo chcielibyśmy, żeby nasi chorzy mieli tu dobre warunki i nie głodowali. Leczenie chorego trwa średnio od sześciu miesięcy do dwóch lat. Przez ten dość długi czas trzeba zrobić wszystko, by tym cierpiącym ludziom pomóc.

Podczas spotkania z okazji Światowego Dnia Trędowatych rozmawialiśmy o tych wszystkich sprawach. Na to święto zaprosiłem do Marany naszego superiora, kilku księży z seminarium w Fianarantsoa, a także kleryków. Przyjechały również siostry ze wspólnoty św. Józefa z Cluny, pracujące w trzech różnych miejscach w okolicy. W naszym kościółku odprawiliśmy Mszę św. koncelebrowaną. Modliliśmy się także przy sarkofagu ze szczątkami bł. Jana Beyzima, dziękując mu za to wspaniałe dzieło jego rąk i serca, które służy nam do dziś. Parę dni wcześniej siostry zabiły dużą świnię, więc na obiad, do ryżu, było odrobinę mięsa, z czego najbardziej cieszyli się chorzy. Pamiętałem, oczywiście, o cukierkach i ciasteczkach dla naszych najmłodszych. Po tej „uczcie” odbyły się występy przygotowane przez kleryków i samych chorych. Były skecze, tradycyjne tańce i śpiewy, a na koniec mecz piłki nożnej – klerycy kontra chorzy. Wygrała drużyna naszych chorych, więc radości było co niemiara. Tylko siostry Sabine – dyrektorki naszego szpitala z nami nie było, bo poleciała na kilka dni do Rzymu. Dostała zaproszenie (i bilet!) z Watykanu na ogólnoswiatowe sympozjum poświęcone sprawom leczenia i opieki nad trędowatymi. Nasza siostra została poproszona o zabranie głosu na temat działalności Marany. Bardzo nas to cieszy, bo to dla nas nie tylko wielkie wyróżnienie, ale przede wszystkim okazja do przypomnienia światu o historii i dniu dzisiejszym Marany.



Po tych skromnych uroczystościach trzeba było wrócić do codzienności. A tu, w Maranie, ta codzienność łatwa przecież nie jest. Liczymy – jak zawsze – na Pana Boga i ludzi, którym los trędowatych – najbiedniejszych z biednych – nie jest obojętny.

Na koniec chciałbym jeszcze z całego serca podziękować wszystkim, którzy nas wspierają, dzięki którym udaje nam się przetrwać w Maranie każdy kolejny dzień. I jeszcze – jako że przeżywaliśmy kolejny Światowy Dzień Trędowatych – dedykuję wszystkim wiersz-modlitwę

Raoula Follerau, którą, tu, w Maranie, często powtarzamy na kolanach przed Najświętszym Sakramentem.

Oto ona:

*Panie, naucz nas nie kochać już jedynie samych siebie
i nie zadawałać się tylko tym,
że kochamy naszych bliskich.*

*Panie, naucz nas myśleć wyłącznie o bliźnich
i kochać przede wszystkim tych, którzy nie są kochani.*

Panie, spraw, aby bolało nas cierpienie innych.

*Daj nam łaskę zrozumienia,
że w każdej minucie naszego życia*

*naszego szczęśliwego życia,
nad którym Ty sam czuwasz,
tysiące istot ludzkich, twoich dzieci, umiera z głodu i zimna,
choć na to nie zasłużyły...
Panie, ulituj się nad wszystkimi ubogimi świata.
Ulituj się nad trędowatymi,
do których tak często uśmiechałeś się, gdy chodziłeś po ziemi,
nad milionami trędowatych,
którzy wyciągają ku Twojemu Miłosierdziu dłonie bez palców,
ręce bez dłoni...
I wybacz nam,
że na zbyt długi czas zostawiliśmy ich samym sobie,
powodowani haniebnym strachem...
Panie, nie pozwól,
abyśmy potrafili być szczęśliwi sami.
Spraw, aby dotykała nas nędza panująca na świecie
i uwolnij nas od nas samych,
jeśli taka jest Twoja wola.*

***o. Józef Pawłowski SJ
- kapelan szpitala dla trędowatych
w Maranie na Madagaskarze***